

TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 63.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8,
półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 25 listopada 1860.
7 grudnia

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie
rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartalnie
rsr. 3. — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II.

TREŚĆ NUMERU.

Antoni Tyzenhauz (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Pokój Tadeusza Kościuszki w Solurze, i puhar ofiarowany mu przez obywateli miasta Bristol (z trzema drzeworytami). — Kościół po-cysterski w Koprzywnicy (z drzeworytem). — Kronika sztuk pięknych. — Sprostowanie. — Korrespondencya od redakcyi. — Dom Esterki w Opocznie (z drzeworytem). — Szachy i rebus.

ro, jak utrzymują poważni historycy, żadnym innym językiem nie mówił jak tylko polskim, co przecież dziwnem się nam wydaje w wieku, w którym język łaciński stanowił kamień węgielny nauki i w którym bez znajomości tego języka obejść się było niepodobna.

Podajemy więc w wątpliwość owo zbyt śmiałe zdanie, że Tyzenhauz nie miał w ręku żadnej innej książki prócz polskiej, i to na słusznych, jak się zdaje, podstawach. Ale Antoni był z rzędu tych rzadkich ludzi, którzy odgadują to, czego inni muszą się mozolnie uczyć. Obdarzony bystrym dowcipem, przezornością i prostym, zdrowym rozsądkiem, potrafił sam siebie wykształcić i wytknąć sobie przyszłą drogę.

Antoni Tyzenhauz,

PODSKARBI NADW. LITAWSKI.

Widzimy z licznych przykładów, że Opatrzność prowadząca narody do zakrytych przed oczyma ludzkimi celów, w danych razach pamięta o najpilniejszych tych narodów potrzebach i zsyła im mężów, którzy te potrzeby odgadnąć i kierunek im nadać umięją.

Polska pod panowaniem Augusta III była w takim stanie ociążałości politycznej i moralnej, że nastąpić musiało przesilenie tej straszliwej choroby i musieli się ukazać znakomici mężowie, przywódcy przyszłych pokoleń.

Jednym z takich ludzi, zesłanych przez Opatrzność dla upamiętania zgnusniałych, był Antoni Tyzenhauz, mąż pracy i czynu, o którym kilka słów mamy czytelnikom naszym powiedzieć.

Był na Litwie Benedykt Tyzenhauz, starosta szmeltyński, a chociaż z dawniej i zasłużonej w kraju rodziny pochodził, nie odznaczył się jednak niczem i siedział sobie spokojnie na swoim małym starostwie. Z Anny Biegańskiej miał jedenaścioro dzieci, trzech synów i ośm córek; dziesiątym z kolei dzieckiem był Antoni, urodzony w roku 1733. Pięć córek wydał za mąż: Magdalenę za Walewskiego, Teresę za Antoniego Tyszkiewicza, Aleksandrę za Morykoniego, Barbarę za Warzeckiego, Benedyktę za Niezabitoskiego; — trzy oddał do klasztoru, a synów, Michała Antoniego i Kazimierza, na naukę do oo. jezuitów. Była to jedyna szkoła, w której kształcił się Antoni, a widać że i w niej niewiele się nauczył, sko-



ANTONI TYZENHAUZ.

Byłby może i Tyzenhauz nie wpadł od razu na szczęśliwą myśl, którą później tak energicznie rozwinął, gdyby nie ta okoliczność, że pełniąc obowiązki podstarościego grodzieńskiego, które poruczył mu Józef Massalski, podskarbi nadworny, miał sposobność zbliżyć się do Terespola, gdzie dziedzic tego majątku, Jerzy Fleming, z niezwykłą trafnością wprowadzał nowe, nieznane dotąd, a nadzwyczaj korzystne zmiany w dawnym sposobie gospodarowania. Mielśmy w ręku kilka drukowanych instrukcyj wydanych przez Fleminga, a odnoszących się do uporządkowania lasów i gospodarstwa w dobrach włodawskich, także do Fleminga należących; domyślamy się więc jak wielkie wrażenie wywarły na młodym i pełnym życia Tyzenhauzie owe urządzenia, które przyjęte i upowszechnione, mogły kraj cały z nieładu i nędzy wydzwignąć. Massalscy wiele także dopomogli Tyzenhauzowi do jego wyniesienia, został też im wdzięczny do śmierci, z narażeniem się nawet na największe przykrości za obronę biskupa Massalskiego. Cechuje to charakter Tyzenhauza.

Dostawszy się raz na drogę publiczną, postępował po niej nadzwyczaj szybko. Na sejm który zwołał August III, z powodu sfałszowanej monety, posłował z Grodna r. 1761, jako chorąży petyhorski, znaku Michała Ogińskiego, pisarza pol. lit., mając zaledwie 28 lat wieku. Musiał na tym sejmie odznaczyć się zdolnościami, bo wkrótce mianowany

został pisarzem w lit.. Obrany pułkownikiem powiatu grodzieńskiego, dowodził pospolitą ruszeniem szlachty; w konfederacji generalnej litewskiej, powierzona mu była laska marszałkowska; potem jeździł do Warszawy, jako poseł na sejm konwokacyjny. Członek rady przy księciu prymasie, członek kommissyi rządowej skarbu w. ks. lit., członek kommissyi do korekty praw litewskich, a nareszcie poseł na sejm elekcyjny, oto są zatrudnienia Tyzenhauza do czasu wstąpienia na tron Stanisława Poniatowskiego, czyli do roku 1764.

Nie pierwszy to przykład, że ludzie wyższych zdolności garną do siebie tych, którzy umieli te wyższe przymioty ocenić. Tyzenhauz, jeszcze przed sejmem elekcyjnym Poniatowskiego, miał już kółko swych wielbicieli, którzy na cały głos roznosili słyszane od niego projekta. Stanisław August, w początkach swego panowania, może miał gorętszą jak kiedy indziej chęć polepszenia bytu Polski; o tym polepszeniu nie można było myśleć bez reform, zwrócił więc zaraz uwagę na Tyzenhauza. Na sejmie koronacyjnym mianował go koniuszym w. l., powołał na członka kommissyi rządowej w. księstwa, wyznaczył na kommissarza rzpltej do układów z Replinem, dnia 8 maja 1765, dał mu nowo ustanowiony order św. Stanisława, później starostwo grodzieńskie, a po śmierci Józefa Massalskiego, dnia 6 czerwca 1765, mianował go podskarbisem nadwornym litewskim.

Tu dopióro czynny, przedsiębiorczy umysł znalazł się w swoim żywiole. Dobra stołowe królewskie były w jaknajgorszym stanie, a podniesienie w nich gospodarstwa i przemysłu, uznał Tyzenhauz za potrzebne, nie tylko dla dobra powierzonego mu skarbu, ale dla dobra całej Litwy; tylko przykład mógł wskazać nowe drogi. Pięć ekonomij dóbr stołowych królewskich za Sasów przynosiło za ledwie czystego dochodu złp. 300,000; miasta podupadły; Kobryniowi musiał król odebrać prawo i swobody magdeburskie; Grodno, obsiadłe Żydami, tylko w czasie sejmów litewskich dawało znaki większego życia. Tyzenhauz, jako starosta grodzieński, za punkt główny swojej działalności postanowił obrąć Grodno. Zaraz wszystko pod jego ręką przybrało inną postać; dochód z pięciu ekonomij doszedł wkrótce do 1,500,000 złp., Kobryń zaczął się budować i rozszerzać, gospodarstwo w ekonomiach zadziwiająco czyniło postępy. Aby dojść do tego, potrzeba było najprzód pomierzyć i uregulować wszystkie dobra. Mamy pod ręką pomiar dóbr wohyńskich, należących do ekonomii brzeskiej; wydziwić się nie można, z jaką dokładnością był wykonany i jak umiejętnie, na owe czasy, pokierowaną była regulacja. Lasy białowieskie podzielił na trzynaście straży, zaprowadził kontrolę i urządził służbę leśną. Ale ogniskiem działań Tyzenhauza było Grodno. Upodobał sobie to miasto i chciał je podnieść do rzędu pierwszych miast w Koronie i w Litwie. Położenie jego geograficzne wiele nastroczało dogodności dla pomysłów mających wielkie cele. Handel drobny spoczywał w ręku Żydów, o rozleglejszych stosunkach handlowych z zagranicą nikt nie myślał, przemysł jeszcze w większym był uśpieniu, rzemiosła zaniedbane; wszystko co kraj mógł znaleźć u siebie, sprowadzano z ogromnym kosztem z zagranicy.

Tyzenhauz założył najprzód na przedmieściu Horodnicy wielką osadę fabryczną, sprowadził cudzoziemskich osadników, bo swoich nie mógł znaleźć, — i tak powstały szybko fabryki wyrobów płóciennych, blichy nad rzeką Łosośną, fabryki sukien, muślinów, gazy, wyrobów jedwabnych, pasów, powozów, instrumentów fizycznych i t. p.

Dla dogodniejszych stosunków z zagranicą i dla ułatwienia miejscowym fabrykantom obrotów pieniężnych, otworzył pod swoją firmą kantor domu handlowego grodzieńskiego, i niezadługo żaden bankier warszawski nie prowadził tak rozlicznych interesów i nie miał tak rozległego kredytu.

Były fabryki i stosunki handlowe, trzeba było jeszcze pomyśleć, aby na przyszłość można się było obejść bez cudzoziemców, aby młodzież polska znalazła w Grodnie to, czego jej najwięcej brakowało: pożyteczne naukowe wykształcenie, aby kierowała się nie tylko na jurystów i szermierzy sejmikowych, ale na pożytecznych w każdym zawodzie pracowników. W ślad za tą myślą otwiera szkołę techniczną dla budowniczych, inżynierów, geometrów i szkołę weterynaryi. Niedługo szkołę weterynaryi rozwija na instytut lekarski, bo stare uniwersytety krakowski

i wileński nie miały wtedy katedr medycznych. Dla użytku instytutu zakłada ogród botaniczny, zawiązuje stosunki z najsłynniejszymi ogrodnikami zagranicznymi i zarazem poleca kształcić młodych chłopców na ogrodników. Po przebyciu oznaczonych lat, rozsyła tych ogrodników w różne strony Korony i Litwy, a bierze na naukę nowych, aby ich znowu na ogrodników usposobić. Gospodarstwa w kraju podnieść nie można, dopóki wykonawcy ekonomiczni nie przejrzą lepiej i nie pozbędą się zastarzałych nałogów; zakłada więc szkołę dla rządców i ekonomów. Pierwszym warunkiem dobrego zarządu jest rachunkowość; tworzy zatem przy tej szkole wzorowe biuro ekonomiczno-rachunkowe, z którego wychodzą zdolni rachmistrze i buchalterowie.

Podskarbi widzi że minęły czasy, kiedy żołnierz z silniejszą pięścią zwyciężał, czuje że nauka weźmie górę nad siłą, i zakłada szkołę żołnierską aby przysposobić rzpltej zdolnych oficerów. Dla tych wszystkich instytutów zaprowadza bibliotekę, urządza drukarnię, z której zaraz zaczyna wychodzić Gazeta Grodzieńska, otwiera teatr, bo mieszkańcy Grodna, przy zatrudnieniach i nauce, muszą mieć także ucziwą rozrywkę.

Zaimprovizowana stolica Litwy musi mieć komunikacyą z morzem. Tyzenhauz uzyskuje od Stanisława Augusta pozwolenie na oczyszczenie koryta rzeki Niemna, i pod jego kierunkiem sławny Narwoicz uprzęta zawały utrudniające spław na tej rzece.

Tyle różnorodnych zajęć i obowiązków nastrocza ją pytanie, czy jeden człowiek mógł im dać radę? Być może iż ogrom prac przygniatał tego wielkiego reformatora Polski, ale ognisty jego umysł czuł że tego wszystkiego Polsce potrzeba, że to wszystko trzeba zaprowadzić, a może przeczuwał że dni jego działalności są policzone.

Nie można się dziwić, że taki człowiek jak podskarbi, literalnie mówiąc, królował całej Litwie, — nic się nie obeszło bez jego wpływu, on o wszystkim wiedział i wszystkim kierował. Nie mogło się to podobać pewnej partii, która pragnęła utrzymania dawnej złoty wolności, z liberum veto i wszelkimi ulubionymi nałogami. Ta sama partya, która projektowała później, aby zbiór praw Zamojskiego publicznie był spalony, zaczęła knuć intrygi przeciwko Tyzenhauzowi. Trzeba było koniecznie pozbyć się człowieka, który kraj na dobrą drogę prowadził. Jakoż okazało się, że przy takim królu jak Stanisław August nie było to nic trudnego. Powiększyły się zawiści, gdy Tyzenhauz, mimo silnego oporu przeciwników, dokazał, że podskarbiowie nadworni koronny i litewski, do liczby ministrów rzpltej zaliczeni zostali.

Złość uciekła się najprzód do potwarzy. Starszy brat podskarbiego, Michał, który miał za sobą Barbarę Zyberg, umierając ustanowił brata Antoniego opiekunem małoletnich swych dzieci, Tadeusza, Ignacego i Ludwiki. Rodzina żony urosła sobie pretensje do majątku. Tyzenhauz bronił zawzięcie bratanek i poczytano mu to za winę. Mówiono że trząsał trybunałami, że sprawiedliwość nie mogła go osiągnąć i t. p. Ale to były tylko potwarze: groźniejsza nad podskarbisem zbierała się burza, jeden jej piorun zgruchotał litewskiego olbrzyma.

Czynności Tyzenhauza, jego popularność, nie trafiały w myśl tych, którzy ogłaszali się niby obrońcami dawnych swobód. Nalegania były zbyt przeważne, aby Stanisław August nie poświęcił im osobistego przyjaciela i czynnego ministra, a że trzeba było dla oka ludzkiego szukać pozorów, więc je znalaziono. Tyzenhauz, przyjmując w dzierżawę dwunastoletnią dobra ekonomiczne, obowiązał się zapłacić 9 milionów złp., które król w Hollandyi zaciągnął. Jednej raty tego długu Tyzenhauz w terminie nie zapłacił. Wzięto ten wypadek za pozór: Rzewuski, marszałek nadworny koronny, ogłosił Tyzenhauza bankrutem, obowiązek opłacenia zaległej raty wziął na siebie i odebrał zaraz królewskoczynny. Bankierzy warszawscy chcieli założyć za Tyzenhauza ową zaległą ratę, ale nie przyjęto ich ofiary i wyznaczono kommissyą dla zbadania uchybień ex-podskarbiego, która pomimo tego, że złożoną była z nieprzyjaciół Tyzenhauza, nie wykryła nic, prócz mniejszych uchybień officyalistów, używanych przez podskarbiego do pomocy, którym zbyt zaufał, a w których czynności nie mógł tyle wglądać ileby należało, z powodu przechodzących siły jednego człowieka prac i obowiązków.

Rzewuski, frackowy minister, obalił od razu całą

budowę poprzednika, usiłując umyślnie zatrzyć ślady wszystkich jego czynności; i z tego to zapewne powodu, gdyśmy teraz poszukiwali w Grodnie śladów dawnych gmachów, odebraliśmy odpowiedź: że gmachy są, ale zupełnie poprzerałbane, dopytać się zaś jakie ten lub ów gmach miał dawniej przeznaczenie, nie można, bo i tradycya o ich pochodzeniu zaginęła. Tak więc niespełna w sto lat, w Grodnie, w owym ukochanym przez Tyzenhauza mieście, na dobre o nim i o jego pracach zapomniano.

Tyzenhauz z góry, może na dwa lub trzy lata przed swym upadkiem, który nastąpił w 1780 roku, przeczuwał co go spotkać mogło. Jego dziwnie trafny umysł sięgał daleko w przyszłość, i kombinując wypadki, nie mógł niedostrzedz chmur zbierających się nad jego głową. To nam tłumaczy jego gorączkowy pośpiech w przeprowadzaniu projektów, które za zbawienne uważał, to poświadcza spokój z jakim przyjął cios zręcznie wymierzony. Sądził że choć on ustąpi, dzieła jego zostaną, że znajdzie się człowiek, który je potrafi uszanować. Po zdaniu administracyi królewskoczyn, usunął się do Postaw i bronił się tylko piśmem i drukiem przeciwko niesłusznym pociskom przeciwników. Ale gdy dowiedział się że jego tyloleńskie prace niszczone, że wandalizm następców rozmyślnie prowadzi je do upadku, nie mógł tego przenieść, zapadł w ciężką chorobę i z niej już nie powstał. W pięć lat po swym upadku, to jest dnia 31 marca 1785 r., zakończył życie człowiek, który sprawiedliwie na imię znakomitego męża zasłużył, który najlepiej życzył krajowi, a który, jak wielu przed nim i po nim, nie był od współczesnych zrozumiany.

Prostujemy tu jeszcze wiadomość, powtarzaną przez różnych autorów, jakoby Tyzenhauz umarł w nędzy. To co tu przytoczymy, czerpaliśmy z dzieł rodzinnych, a zatem z pewnych źródeł.

Po Antonim Tyzenhauzie, który zmarł bezżenny, przyszli do spadku: Ignacy Tyzenhauz, szef gwardyi litewskiej, syn brata jego Michała, i Zofia Imo voto Tyzenhauzowa chorążyna wileńska, 2do voto Chomińska, wojewodzina mścisławska, jedyna córka po bracie Kaźmirzu, staroście dyamentowskim. Spadek stanowiły dobra: Postawy, Ihumenów, Żołudek, Rzepichów, Chotynicze, Rakiszki, Podkrzyże i Kamionka, rzeczywiście, a nie pozornie (jak utrzymują niektórzy pisarze) obdłużone, bo Tyzenhauz nieraz na potrzeby swoich zakładów własne fundusze poświęcał.

Znane nam jest całe przejście działowe tych dóbr w rodzinie Tyzenhauzów aż do naszych czasów; ale nie tu miejsce do podobnych, obojętnych może dla wieku czytelników, wyłuszczeń. Wspomnieliśmy tylko o tym, aby nie potwierdzać milczeniem wskazanego wyżej przypuszczenia, zostawiając sobie na później obszerniejsze w tym względzie sprostowanie.

Ant. Wie.

Kronika tygodniowa.

Nie lubię polemiki i w ogóle nie wdaję się w nią.

Ten wstręt do piśmienniczego wojownictwa, czytelnicy mieli już sposobność ocenić przez rok z górami, jak za pośrednictwem Tygodnika Ilustrowanego zawiązały się pomiędzy mną a nimi stosunki.

Jestem nawet tego zdania, że polemika nigdzie nie jest pożądaną, u nas zaś, w obecnym stanie naszego piśmiennictwa i okoliczności mu towarzyszących, naganą i szkodliwą.

Pomimo jednak tego mojego wstrętu do wszystkich harców piórowych, zdarza się iż kronika moja, zaczepiając o różne kwestye społeczne, o ile jej to zakres i szczupłe ramy pozwalają, wywołuje odpowiedzi, zaczepki, artykuły nadsyłane i t. p. umieszczane w różnych piśmach.

Na takie artykuły odpowiadać nie jest moim zwyczajem; zdarza się jednak iż kwestye w nich dotknięte, do zbyt ważnych odnosząc się przedmiotów, nie mogą być mimochodem pominiętymi.

Na takie artykuły odpowiedź jest konieczną.

Przed kilką dniami w Gazecie Codzienniej ukazał się artykuł ze znaczkami (w. z.) i z tytułem *sprawa czytelnictwa*. Autor tego artykułu, odpowiadając na uwagi rzucone przezemnie w jednej z przeszłych kronik, twierdzi, o ile go mogłem zrozumieć, że źle czynię upominając się o kupowanie książek, zamiast wy-

rzucania pieniędzy na stroje, ostrygi, wina i t. p. rzeczy; że starych nie nauczę gdy mają wstręt do czytania, a tylko na młodych trzeba działać.

Więc najprzód śmiem zapytać szanownego autora, z kąd powziął to przekonanie, że moja kronika tylko dla starych jest pisana. Przykroby mi zaiste było, gdyby młodzież nie czytała jój, bo toby właśnie dowodziło, że brak w niej prawdziwego życia, które za pierwszy warunek w objawach piśmienniczych uważam.

Powtóre, autor nie pojął dobrze kwestyi dotkniętej przezemnie. Nie o czytanie książek idzie tu: wstręt do zasilania piśmiennictwa, do pomagania rozwijaniu się jego w narodzie, jest tylko jednym z objawów, może najwięcej bijącym w oczy, które za naganne w społeczeństwie naszym uważam. Ja powiedziałem i starałem się dowieść, że społeczeństwo nasze pojmuje tylko cnoty i zasługi bierne, które, tak prawdę mówiąc, nie są wcale ani cnotami, ani zasługami. Ujemny ten stan i szkodliwe jego wpływy wykazywać jest obowiązkiem każdego, kogo tylko szczęśliwe okoliczności postawiły w możności przemawiania publicznie do współobywateli.

I już nie od dziś różni ludzie, toż samo zauważysz, rozmaite też na to jako lekarstwo podają sposoby i rady. Bierzcie się do literatury, wołają jedni, czytajcie książki, wspomagajcie sztuki piękne, nie gaście ducha, wspomagajcie myśl. Rozwijajcie przemysł, handel, bogactwo narodowe, mówią drudzy, zasilajcie pomyślność krajową, *mens sana in corpore sano*, duch wejdzie, jeżeli mu wygodne a zasobne we wszystko obmyślicie mieszkanie, nie wytrzyma zaś on tam, gdzie wiatr wieje przez dziury w dachu i przez szczeliny drzwi i okien. Inni nareszcie każą: wyrzućcie z łona swojego wszystko co zgangrenowane, słabe albo nawet zdaleka zarażone zepsuciem. Niech opinia publiczna karcie nie już błąd rzeczywisty, ale nawet myśl niepocziwą. Postępujcie jak owi medycy, którzy osłabiają ciało chorego, oczyszczając je ze wszelkich szkodliwych soków, ażeby potem większych sił, bujniejszego rozwoju nabrało.

Więc i ci, i tamci, i owi popierają wyłącznie swoje zdanie i ku niemu prąd opinii publicznej starając się nakierować, stają nieprzyjacielsko jedni w obec drugich. I jak to zwykle się zdarza przy starciu przeciwnych opinii, jedni drugich potępiają, twierdząc że tam jest zbawienie, gdzie oni dążą, że tam zguba, gdzie ich przeciwnicy starają się skierować.

I Bóg wie czego oni nie zarzucają jedni drugim, jak to zwykle się dzieje, zwłaszcza u nas, przy roznamietnieniu się przeciwnych opinii.

A jednak i ci, i owi, i tamci mają słusność. Ale również błędzą i ci, i owi, i tamci, a to dlatego, że każdy z nich jednostronny tylko kierunek obiera, a każda jednostronność jest zgubną, każda wyłączność jest zgubną, każde zboczenie na ścieżkę pojedynczych tylko ulepszeń jest cofnięciem się od celu. Dlatego to słowo utraciło u nas wpływ jaki rzeczywiście mieć powinno, o jaki się ciągle dobija. Gdy jedni napełniają naczynie wodą, drudzy robią w niem dziurę i woda wylata. Nieużyteczna to praca Danaid; czyliż na podobną tylko jesteście skazani?

A jednak każdy wskazuje tylko skutki, przyczyn nikt nie bada. Dzieje się to trochę jak w medycynie, która głównego działania, przyczyny życia, ducha co ożywia ciało, nie poznała jeszcze i bogdaj czy go pozna kiedy; ale zbadawszy złe i dobre jego objawy, wskazuje środki zaradzające jednym, dopomagające drugim. A byli jednak genialni szaleńcy, był taki Albert Wielki, Rajmund de Lulle i Gassner, którzy wołali: działajcie na ducha, a ciało będzie posłuszne; nie lekami, ale słowem uzdrawiajcie choroby; bądźcie silni wolą i wiarą, a w was i w drugich wola i wiara cuda zdziała.

Że więc złe jest, trudno temu zaprzeczyć; ale społeczeństwo ma prawo mówić do tych, którzy je chcą uczyć, słowami owego tonącego dziecka z bajki:

— O nauczycielu! wyratuj mnie przedewszystkiemu z wody, a potem będziesz mógł mi dawać przestrogi moralne.

Od ludzi do narodów porównanie nie jest wcale dalekie. Wiadomo że estetycy ludzi twórczych, ludzi z talentem dzielą na dwa rodzaje: na talenta męskie i żeńskie, to jest na podbudzające i potrzebujące podbudzenia. Owóż, o ile przebieg życia naszego narodu wskazywać się daje, to ono, będąc z początku samoi-

stne i twórcze, (czego dowodziły urzędnicy, które o kilka wieków czas swój wyprzedziły), przechodziło powoli w drugi rodzaj i zaczęło obcym żywić się natchnieniem, obce przetrwać ideje. Od tego czasu też i upadek nasz datuje. Przemieniały się kolejno źródła z których czerpano, zmieniała się również forma przerabiania czyli przyswajania, ale grunt rzeczy tenże sam pozostał.

Ani wyobrażenia angielskie, ani cywilizacja francuzka, ani zabiegłość i przemysłowość niemiecka, gwałtem przyswajane, nie pomogą tym, którzy ich z krwi swojej i życia nie wyciągnęli. Naród wierzący w natchnienie, nie powinien naśladować ani przetwarzać. A nie bierzemy tu wcale pozorów rzeczy, ale samo jój wnętrze, nie bierzemy formy, ale ideję. Bo mniejsza o konwersacyę francuzką w salonie, o termina angielskie na wyścigach konnych, o ogródki wreszcie bawarskie i orkiestry cudzoziemskie w mieście: to wszystko jest tylko forma; ale obok objawu tej formy, i duch się tu i owdzie wałęsa. Ten będzie wielkim, ten utrafi w przekonanie narodu, ten sobie na powszechną wdzięczność zasłuży, kto nauczy nas być sobą samymi.

Więc nie o samo czytanie i kupowanie książek chodzi tu, jak autor artykułu pod znaczkiem (w. — z.) zdaje się mniemać, ale o wywołanie na jaw wszystkich objawów żywotnych, któreby dowiodły że bierny nasz stan ustał i nie wróci już więcej. Niechaj tylko kierunek obywatelstwa, zwrócony obecnie wyłącznie tylko prawie ku podniesieniu bytu materyalnego, szerszą przybierze działalność, a nie będziemy potrzebowali zachęcać do wszystkiego tego, co samo z siebie jest dobrą i pożyteczną i co każdy za takie uzna. A młode pokolenie, na które autor rzeczony artykułu każe szczególnie oddziaływać, pojmuje i bez tego moralne swoje zadanie. W niem właśnie, w tej sile żywotnej, którą w niem przeczuwamy, leży to przekonanie, na którym budujemy pewność poprawy naszej.

Uważaliśmy za potrzebne wypowiedzieć szczerze te kilka słów, żeby wyjaśnić to co już nieraz powiedzieliśmy i to co jeszcze nieraz na przyszłość powiedzieć nam przyjdzie. W skargach i uzaleniach, które tak często wytaczamy przed trybunał czytelników, leży tylko chęć wdrożenia w nich przekonania, jakie każdy z nich, świadomie lub nie, piastuje w łonie swoim, przekonania, z którym żadną miarą nie dają się pogodzić objawy dowodzące oziębłości i niedbalstwa na dobro publiczne i to co z tego dobra wypływa. Bo nie zaniedbujcie drobnostek nawet, mówi moralista, z drobnostek bowiem pozornych powstają wielkie rzeczy.

Mało mi już pozostaje miejsca na zwykłe moje sprawozdanie tygodniowe, bo też po prawdzie chwila bieżąca skąpo do niego nastęrcza materyałów, a wiele z nich wychodzi po za obręb moich często spóźnionych, bo z konieczności tygodniowych, sprawozdań. Zawsze jednak powiedzmy to, co godne zanotowania, chociażby dla czytelników nie było już zupełną nowością.

U pana Józefa Korzeniowskiego na 1go bieżącego miesiąca, odbył się drugi już z kolei wieczór literacki i artystyczny. Na tym wieczorze czytany był wiersz Deotymy, mający być przyłączony do ryciny, jaką Tygodnik Ilustrowany na nowy rok przygotował dla czytelników. Wiersz ten ogólny znalazł przyklask, a nie rozszerzamy się nad nim, bo wkrótce czytelnicy Tygodnika będą go mogli sami osądzić. W każdym razie nie od dziś zauważaliśmy, że w pięknym talencie Deotymy objawia się jakiś zwrot ku męskiej sile i energii. Przekonani jesteśmy, że talent jój nie jest jeszcze u kresu mnogich przejawów swoich; potężnie je on ciągle, a może kiedyś ci, którzy mu obecnie ujemną zarzucają stronę, sami się przekonają, że trudno jest sądzić z tego co było, o tém co będzie.

Przedstawienia w teatrze Dobroczynności mają mieć miejsce 14go i 17go b. m.; być jednakże może, iż w programacie zajdą niejaki zmiany, z powodu niektórych dodatków. Przedstawienie składać się będzie z dwóch aktów tak zwanego Nowego Teatru, to jest zbioru scen oderwanych z różnych utworów scenicznych, a stanowiących mniej więcej same w sobie pewną całość. Niektóre z tych scen wyjęte są ze znanych już utworów, niektóre zaś zupełnie nowe, umyślnie na to widowisko napisane. Przedstawienie urozmaici także część muzyczna, której ułożeniem zajął

się jeden z członków towarzystwa, znany ze swoich rozległych muzykalnych stosunków.

Mamy także zapowiedziany na bieżący miesiąc koncert p. Moniuszki. Dyrekcyja teatrów, przychodząc w pomoc zasłużonemu twórcy Halki, dozwoliła artystom do składu naszej opery i orkiestry należącem, poprzec złączonemi siłami uroczystość muzyczną. Jest to dobrą wróżbą jój powodzenia, ku czemu sympatyczne nazwisko Moniuszki najskuteczniej dopomóże.

Otrzymaliśmy list, w którym jeden z czytelników twierdzi, że zamiast zalecanych przez nas polskich książek, woli sobie sprowadzić Walter-Skotta z Hamburga, bo podług ogłoszeń Illustracyi niemieckiej można tam otrzymać 170 tomów za sześć talarów. Choćby zapłacić drogo za koszta transportu, pisze korespondent, to zawsze małym kosztem zapełni się biblioteka. Jabym mu wskazał jeszcze łatwiejszy sposób zapełnienia jój, nie uwłaczając wcale Walter-Skottowi, którego wysokie stanowisko w ogólnej literaturze, nie stanowi dla nas jeszcze konieczności nabycia dzieł jego, zwłaszcza w nędznym zapewne tłumaczeniu. Tyle książek u nas marnuje się na masło: niech więc idzie na Muranów, zakupi to wszystko, a będzie miał bibliotekę tanim kosztem.

Wydawnictwo Kroniki krajowej i zagranicznej przechodzi w ręce pana Aleksandra Niewiarowskiego, byłego redaktora Gazety Codzienniej. Sądzymy że to pismo, pod przewodnictwem publicysty, który kilkakrotnie łamał się już z trudnościami prowadzenia pism peryodycznych, szerzej się rozwinie.

Na wystawę krajową ciągle przybywają obrazy i publiczność dotychczas odwiedza ją dość licznie, do czego zawsze największą ponętą jest obraz Simmlera Barbara Radziwiłłówna. Dziwna rzecz jednak iż u nas, czy to na polu literatury, czy też sztuki, czyli w jakiej bądź innej gałęzi wiedzy ludzkiej, każdy objaw, który od razu wysoko stanął w opinii publicznej, znajduje zaraz detraktorów, którym ocenienie rzetelne zasługi cudzej spać nie daje. Już dają się słyszeć u nas pojedyncze głosy krytykujące obraz Simmlera. Jedni ganią mu że herbu królewskiego nie umieścił nad łóżkiem, inni kształt mebli krytykują, inni zarzucają, że chwila źle wybrana, że Barbara powinna być żyć jeszcze, uśmiechać się, że to jest nienaturalnie i nieprzyzwoicie, iżby król siadał na łóżku swojej małżonki i t. d. Bo zarzutów nie braknie. Dzieje się to u nas skutkiem jakiegoś dążenia niwelacyjnego, wymagającego od każdego, który choć cokolwiek głowę nad powszedniość wzniesie, zniesienia się natychmiastowego do poziomu. Gniewamy się że nasz sąsiad ośmiela się być zamożniejszym, zasłużeńszym albo rozumniejszym od nas. Ale objawy tego rodzaju nie powinny nikogo odstręczać, nietylko bowiem u nas mają miejsce, chociaż tu więcej niż gdziekolwiek stają się dotykalnemi. Ocenienie zresztą zalet artystycznych tego obrazu znajdą czytelnicy w następnym numerze naszego Tygodnika.

POKÓJ TADEUSZA KOŚCIUSZKI W SOLURZE,

I PUHAR

OFIAROWANY MU PRZEZ

OBYWATELI MIASTA BRISTOL,

W STANACH ZJEDNOCZONYCH AMERYKI PÓŁNOCCNEJ.

Kościuszkę, po burzach życia i doznanych przeciwnościach, na początku 1815 roku osiadł na stałe mieszkanie w Solurze, w domu przyjaciela swego Zeltnera.

Rodzina Zeltnerów, chociaż jedna z najdawniejszych i najznakomitszych w Szwajcaryi, przez wypadki losowe zubożała. Gdy rewolucya francuzka smutnie oddziaływała i na losy Szwajcaryi, Zeltnerowie, z wielką stratą zmuszeni do sprzedania wszystkich swoich posiadłości ziemskich, ze znacznej fortuny, przyszli do bardzo skromnego mienia.

Kościuszkę zapoznał się z tą rodziną w świetnych jój czasach; po upadku jój majątkowym, przywiązanie jego zwiększyło się uwielbieniem z powodu tej pogody umysłu i tego spokoju duszy, z jakimi tak sami Zeltnerowie, jak i ich dzieci, przyzwyczajeni od młodości do wygod, znosili zmienność doli.

Poraz pierwszy w życiu bohater nasz, jak sam wyznał, uczuł się szczęśliwym w ich gronie, uczuł słodczye pożycia rodzinnego w samotności swojej. Z krewnych jego nikt mu więcej nie pozostał, jak tylko jedyna siostra, żyjąca w Polsce, w ojczystej swjej dziedzinie w Śniechowicach, dwóch siostrzeńców i dwie siostrzenice, których wychowanie powierzył generałowi Paszkowskiemu, mieszkającemu na wsi niedaleko Krakowa, zostawiwszy mu na ten cel dostateczny fundusz.

Siedmdziesięcioletni starzec lubił najwięcej towarzystwo kobiet, które składała rodzina Zeltnera. Polubił szczególnie najstarszą jego córkę, Emilią, liczącą rok czternasty życia, a łączącą najpiękniejsze przymioty duszy i serca, z powabną, pełną wdzięku postacią.

(chère petite amie) miejsca przechodu wojsk Annibala. Młoda uczennica, wezwana przez nauczyciela, powtórzyła bez zająknięcia cały ciąg wyprawy sławnego Kartagińczyka z Rzymianami, przejście przez Pireneje, bitwy pod Trebią, nad jeziorem trazyneńskim i pod Kannami. Z zapalem młodzieńczej duszy unosiła się nad walecznością Annibala, którego uważała za najznakomitszego wodza.

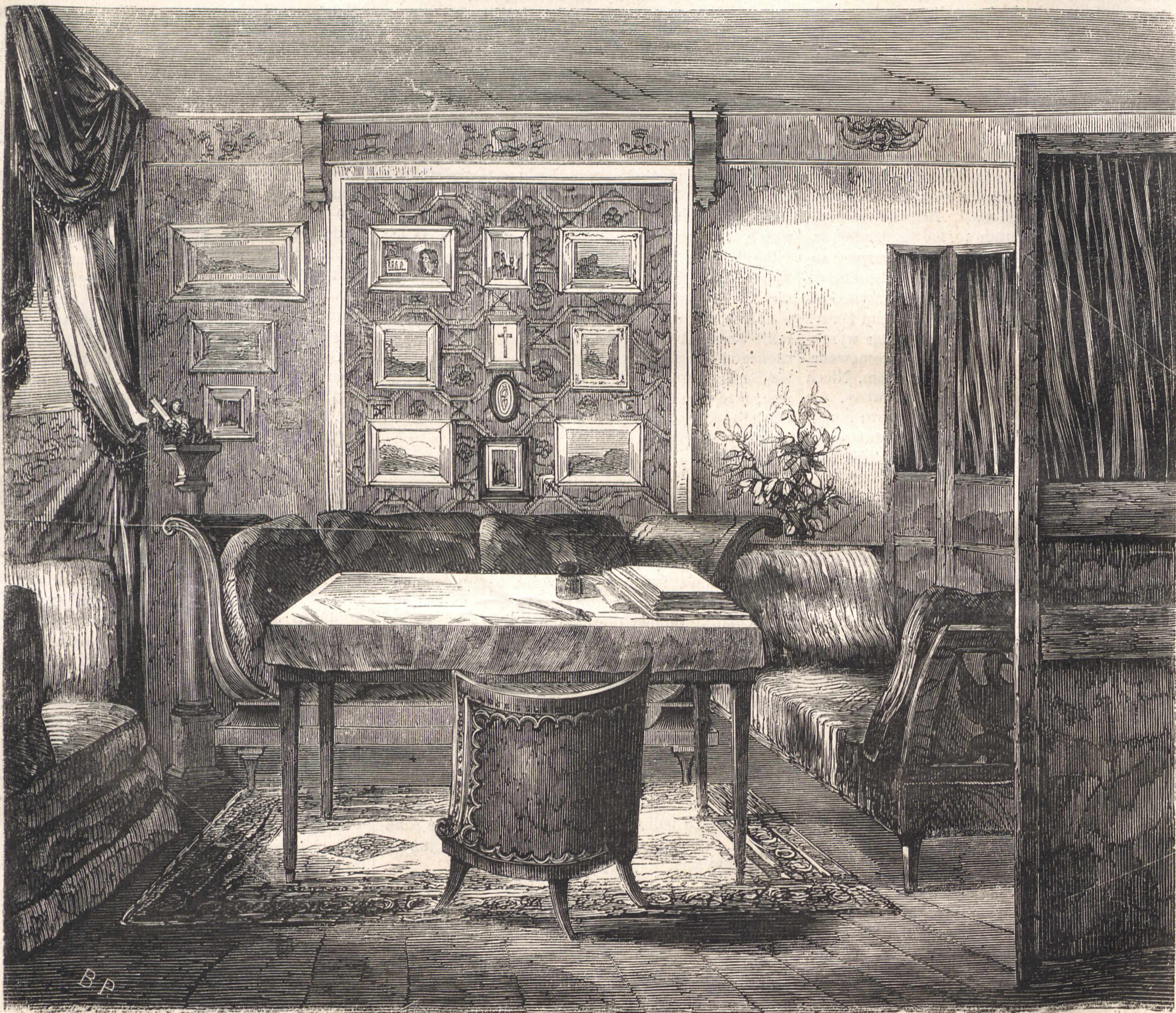
Gdy Kościuszko zwrócił jej uwagę na liczne uchybienia i błędy Annibala, a z drugiej strony wynosił przezorność i męstwo Fabiusza i Scypiona, Emilia Zeltnerówna, usiłując się utrzymać przy swoim zdaniu, nazywała wodza Kartagińczyków największym bohaterem swego wieku, przewyższającego męstwem i geniuszem wszystkich Rzymian.

Wtedy Kościuszko, powstając i śmiejąc się, wyrzekł

W obozie czarny i gruby chleb, potrawy proste, szklanka piwa składały jego zwyczajną żywność, jak burka była jego okryciem, siodło poduszką.

Toż samo umiarkowanie znamionowało jego życie w Paryżu i Solurze. Wspólnie u jednego stołu jadał z przyjaciółmi swemi, przestając na potrawach zwykłych, gospodarczych; chodził w starym granatowym surducie, nie nosząc żadnych znaków którymi był ozdobiony; tylko przy guziku zwykł był zatykać różę, albo czerwone gwoździki, bo lubił szczególnie te kwiaty. Damy też mieszkające w Solurze, współubiegały się o dostarczanie mu nawet śród zimy tych jego ulubieńców.

Znanym był wydatny rys charakteru Kościuszki: dobroczynność i chętne niesienie pomocy bliźniemu. Kiedy jako naczelnik przybył pierwszy raz do War-



POKÓJ. TADEUSZA KOŚCIUSZKI W SOLURZE W SZWAJCARYI.

Aby rozwinąć w niej zarody wysokich zdolności, zajął się Kościuszko wyłącznie wychowaniem ulubionej istoty. Sam jej wykladał naukę geografii i historii, zwracając głównie uwagę na te miejsca w Europie i Ameryce, gdzie wielcy ludzie pamiętnych w dziejach dokonali czynów.

W wykładzie historii, szczególnież kiedy opowiadał jej okres dziejów rzeczypospolitej rzymskiej, szlachetne oblicze jego jaśniało niezwykłym wyrazem. Nieraz przejętym był zadziwieniem, kiedy młoda uczennica, ze zwykłą przenikliwością, zadawała mu pytania lub odkrywała myśli swoje, wbrew przeciwnym Kościuszki wyobrażeniom.

Jeden ze znakomitych rodaków, gdy na kilka miesięcy przed zgonem bohatera odwiedził go w Solurze, zastał siedzącego nad mappą Włoch starożytnych, na której wskazywał kochanej małej przyjaciółce

po francuzku: „Owóz moja przeciwniczka z sercem kartagińskim, zwyciężyła swego nauczyciela rzymskiego.“

Młodej córeczce swojej, jak nazywał Emilią Zeltnerównę, niczego odmówić nie mógł. Często, dla sprawienia jej uciechy, wydawał baliki dla dzieci, na które jej przyjaciółki i towarzyski zapraszane bywały. Oblicze starca rozjaśniało się niezwykłą radością, gdy patrzył na niewinne zabawy młodzieży, na wesołe skoki i tańce, na nieklamana jej ochotę. Często mieszał się sam w ich grono, rozporządzając ich zabawami. Dlatego też powszechnie kochany, kiedy wyszedł z domu, grono go dziatwy zawsze otaczało. Uboższym dawał zasiłki pieniężne, innym zabawki, owoce i cukierki, które zawsze nosił przy sobie, jakkolwiek sam nigdy ich nie używał, podobnie jak wszelkich wybrednych a smakoszem miłych potraw.

szawy, stanął przed nim biedny rymarz podupadły, a mający liczną rodzinę, prosząc o wsparcie. Kościuszko co miał oddał mu wtedy, a nie miał więcej jak czterdzieści złotych polskich; ale czując jak małą jest zapomogą ta sumka, wpadł na myśl szczęśliwą i kazał mu przygotować kilkadziesiąt batożków na konie.

Nazajutrz, jadąc w gronie licznego sztabu ulicą Freta, zatrzymał się przed sklepikiem rymarza, który nań oczekiwał z wyrobem przygotowanym. Wziął więc jeden, a potrzasnąwszy nim, zawołał: „Wierzajcie mi panowie, że walny to batożek.“ I dał rymarzowi talara ośmiu złotych. Orszak jego rozchwiał resztę, dobrze płacąc, a tak od razu biedny rymarz dźwignął się z nędzy, bo odtąd schodzono się doń i zakupywano podobne batożki.

Dobroczytność Kościuszki znaną była i w Szwaj-

caryi. Oprócz rozdawania hojnych darów, odwiedzał nieszczęśliwych i pocieszał ich słowy i nadzieją. Koń jego wierzchowy, na którym codziennie około godziny dziesiątej rano wyjeżdżał, tak się przyzwyczał,

Dwie ubogie rodziny w Solurze, podczas ciężkiej zimy 1816 roku, wyprzedawszy co mogły ze sprzętów, zagrożone były zabranie reszty za nieopłacony podatek i na wydalenie z miasta. Udały się więc do pani Zeltnerowej z prośbą o pomoc. Sama nie była w stanie udzielić takowej, a Kościuszki nie śmiała prosić, zwłaszcza wiedząc że progi pomieszkania jego przez ten dzień cały otoczone były nieszczęśliwymi, których wsparł hojnie. Po wieczery spostrzegł smutek na obliczu pani Zeltnerowej, badał powodu, a dowiedziawszy się o wszystkim, przyniósł zaraz pieniądze potrzebne na ratunek nieszczęśliwych rodzin, prosząc, aby zaniósła im tę zapomogę, gdy sam słaby iść nie może.

— Nie zwlekaj ani chwili, chociaż już późno, moja przyjaciółko (wyrzekł); obudź, chociażby spali ci biedni ludzie. Spokojnie będą spoczywać, skoro dowiedzą się że nie zabiorą im jutro ostatniego ich mienia.

Podajemy tu w wiernym rysunku pokój Kościuszki, w którym zamieszkiwał w czasie pobytu swego w Solurze.

Łóżko pod kotarą, jakie na prawej stronie widzimy, zasłane było twardym materacem, dwiema poduszkami i lekką okrytą kołdrą. Przy nim na słupie Chrystus upadający pod krzyżem, godło pod którym się modlił i na które często z załzawionymi oczyma poglądał. Na środku stała wygodna kanapa, przed nią stół, z przyborami do pisania; naprzeciw duży fotel. Z boku sofa z poduszkami, której brzegi rzeźbione były w orły. W pobliżu okna doniczka z krzewem róż, tak ulubionych bohaterowi. Krzew ten starano się tak zmieniać, ażeby zawsze był okryty kwiatem. Na ścianie głównej, za kanapą, wisiały sztychy i obrazy, a między niemi na środku krzyż Chrystusowy.

Letnią porą wstawał zawsze o godzinie piątej z rana, w zimie o szóstej. Po śniadaniu, w towarzystwie rodziny Zeltnerów odbył, udawał się do tego pokoju, gdzie ułatwiwszy liczne korespondencje, zajmował się czytaniem lub układaniem pytań i zadań dla swojej ulubionej uczennicy. Około godziny czwartej po obiedzie zwykł był grywać w billard, a ponieważ go w domu Zeltnera nie było, udawał się w tym celu do bliźniego kolegium profesorów; później znowu wyjeżdżał konno, albo odwiedzał szczupłe grono przyjaciół swoich. Wieczorem w ich kółku, a mianowicie w towarzystwie uczonego doktora Szyrera, ab-



PUHAR OFIAROWANY T. KOŚCIUSZCE PRZEZ OBYWATELI MIASTA BRISTOL.

że jak tylko ubogiego zobaczył, stawał. Zwykle Kościuszko brał z sobą luidora drobnymi pieniędzmi, który dzielił pomiędzy ubogich spotkanych po drodze na przejeździe.



SPÓD PUHARU.

bego Szmitta, kupca Bettina, pułkownika Grimma i kilku innych, przepędzał czas na rozmowie, albo przysłuchując się muzyce, lub grając kilka partyj wista.

Zasłabłszy 1 października 1817 roku, napisał testament i kazał wszystkie papiery swoje w języku polskim spalić. Piętnastego tegoż miesiąca, otoczony rodziną Zeltnerów, pożegnał ją i pobłogosławił. Kazał podać sobie pałasz, którym niegdyś w obu półświatach drogę do sławy walecznym towarzyszom broni wskazywał, a podniósłszy go drżącą ręką ku niebu, prosił, aby mu takowy do trumny włożono. Pałasz drugi, Jana Sobieskiego, darowany mu w ro-



KOŚCIÓŁ FO-CYSTERSKI W KOPRZYWNICY.

ku 1799 przez legionistów, przekazał do zbioru pamiętek krajowych.

Około godziny dziesiątej wieczornej, podniósłszy się w łóżku, chciał przemówić, ale głosu dobyć nie mógł: podał tylko prawą rękę przyjacielowi swemu Zeltnerowi, lewą jego zacną małżonce. Spojrzał w około i ujrzał stojącą a załzawioną ukochaną uczennicę swoją Emilią; uśmiechnął się do niej, westchnął i zasnął snem wieczystym, na tém samym łożu, które oglądamy w załączonej rycinie.

Dajemy tu zarazem przerys dokładny kielicha, który Kościuszcze ofiarowany został przez obywateli miasta Bristolu w Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki, w czasie powtórnego jego przybycia w r. 1797 do tej krainy, za której swobodę walczył w dniach swjej młodości.

K. Wł. W.

KOŚCIÓŁ PO-CYSTERSKI W KOPRZYWNICY.

W rokosznej okolicy Sandomierza, obok czarnych widoków od strony Galicyi, nad brzegami Wisły, leży ubogie miasteczko Koprzywnica, w którym pomiędzy lichymi drewnianymi domami, wznosi się jedyna znaczniejsza budowla, sławny niegdyś kościół i klasztor cystersów, chociaż właściwie stoi on już po za dzisiejszym miastem, na gruncie wsi Cegielnia. Założył go w r. 1185 Mikołaj Bogorya, wojewoda sandomierski, dla słynnych wówczas uczniów św. Bernarda, których z pierwotnej ich siedziby, to jest z Morimundu we Francyi sprowadził. Wszakże inni Kaźmirzowi II Sprawiedliwemu wszystko to przypisują; Bogorya zaś miał tylko po zgorzeniu klasztor odnowić i hojnie uposażyć, z kąd za fundatora był poczytany; tak przynajmniej utrzymuje napis na marmurowej tablicy, która się w kościele tutejszym znajduje.

Świątynia ta wspólnego wszystkim innym doznała losu. Sławna bogactwem a wspaniałością swoją wabiąca, sprowadziła do siebie tatarskie hordy i przez nie najprzód była w r. 1241 złupiona. Zakonnicy, którzy ztąd piechotą do Sandomierza uchodzili, spotkani przez barbarzyńców we wsi Szewce, wszyscy męczeńską śmierć ponieśli. Zrabowali następnie kościół koprzywnicki Szwedzi, a suppressya zgromadzeń cysterskich w roku 1819 wspaniałe niegdyś opactwo w ruinę zamieniła.

Sam kościół, pod wezwaniem P. Maryi i św. Floryana, ma zwykłą cysterskim kościołom postać krzyżową; zbudowany całkowicie z ciosu, przytykał do obszernych niegdyś krużganków klasztornych i korytarzy. Nawa, podwójnym rzędem filarów na trzy części rozdzielona, niższą jest po bokach niż w środku; sklepienia wszędzie są krzyżowe. Zewnętrzna część w XVII wieku była odnawiana, a mianowicie główna ściana szczytowa i znajdujący się przy niej przysionek. Tylne części zewnętrzne i całe wnętrze pozostały do dziś dnia tak jak pierwotnie były wystawione. Łączące się z kościołem krużganki klasztorne były niegdyś malowane. Widać jeszcze ślady owych malowideł, pochodzących niewątpliwie z XIII wieku, na walących się ścianach, a te pod względem stylu w niczem się nie różnią od malowideł na współczesnych pargaminowych rękopisach.

Wewnątrz były niegdyś piękne obrazy, przez mozną rodzinę Ossolińskich sprawione, teraz zaś jest tu jeszcze pięć nagrobków; z tych najdawniejszy rodziny Niedrzwieckich, herbu Ogończyk, stawiany w roku 1581, przyozdobiony jest wykutymi z kamienia całkowitemi figurami rycerzy. Napis, chociaż na marmurze ryty, tak jest mocno od wilgoci uszkodzony, że go w całości teraz wyczytać już niepodobna; tyle tylko można w nim wyrozumieć, że pokrywa zwłoki dwóch Stanisławów i Marcina Niedrzwieckich i że przez ich brata Jędrzeja został wzniesiony. Nagrobek Hieronima Otfinowskiego, jakkolwiek niema na sobie daty, wszakże ze szczegółów życia zmarłego, jakie obejmuje, przekonać się można, że na początku XVII wieku był wystawiony. Obszerny jego napis zawiera całą biografią nieboszczyka, który był sekretarzem królewskim, walczył pod trzema hetmanami: Potockim, Zamojskim i Żółkiewskim, a poselstwa do Mołdawii i Turku sprawował; wreszcie z kąd wiadomo, że umarł w r. 1620. Pomnik ten wystawili mu bracia Samuel i Waleryan Otfinowscy, pierwszy głośny ze znajomości języków wschodnich, drugi znakomity tłumacz Wirgiliusza Ziemiaństwa i Owidiusza

Przemian, w tymże czasie w Krakowie z druku wydanych. Założycielowi swojemu i hojnemu uposażycielowi Mikołajowi Bogoryi, położyli cystersi w roku 1647 kamienną tablicę ze stosownym napisem. Dowiadujemy się z niej, że przy erekcy kościoła tutejszego nadane mu były dwa miasta, t. j. Koprzywnica i Jasła, oraz dziesięć wsi. Kości tego fundatora pochowane są w katakumbie w ścianie części kapłańskiej. Stanisławowi Wyżyckiemu, staroście tymbarbskiemu, pułkownikowi hussarskiej chorągwi królewskiej, walecznemu żołnierzowi w r. 1640 zmarłemu, syn jego, także Stanisław, najprzód podczaszy nowogrodzki, potem chorąży kijowski, również dzielny rotmistrz i pułkownik, a wawolnicki starosta, kamienny wystawił tu nagrobek, nieszczególny pod względem sztuki. Najpóźniejszy pomnik jest z r. 1701 Mikołaja z Mozgawic Mozgawy, pułkownika w konfederacyi województwa sandomierskiego, elekcyą króla Augusta II popierającej, przez niego samego za życia wystawiony. Oprócz tego znajduje się na korytarzach klasztornych obszerny napis, przypominający główniejsze epoki z dziejów tutejszej świątyni. Z pojedynczych zaś starożytności są tu dwie kropielnice kamienne w gotyckim stylu, które wyrugowane z kościoła, za przedpodwórzową bramą się mieszczą. W ogóle kościół koprzywnicki ze wszystkich sobie współczesnych najmniej przerabiany, najwięcej też pierwotnego dochował charakteru. Wszakże gdy jego posadzka znacznie jest niższą od otaczającego poziomu, nie może on przed wpływem wilgoci się uchronić. Niszczy ona ołtarze i nagrobki, tém bardziej że po suppressyi zgromadzenia cystersów, zwykła parafialnym kościołom służba do utrzymania w nim należytego porządku, pomimo najszczerzych chęci i starań terażniejszego proboszcza, nie jest wystarczająca.

Niezamieszkałe też od lat kilkadziesiąt mury klasztorne jedne same runęły, inne przeznaczone są na rozebranie. Do liczby ostatnich należy nie okazały wprawdzie, ale starością swoją poważny, bo w XII jeszcze wieku zbudowany kapitularz, równie ściany jak sklepienie z ciosowego kamienia mający. Tym sposobem pomnik ten w kraju naszym ostatni tego rodzaju, dla dziejów pierwotnego budownictwa niezmiernie ważny, który wojny tatarskie i szwedzkie oszczędziły, a sam nawet czas przez półsiódma wieku szanował, zginie teraz dla nich na zawsze.

Wszystkie ściany szczytowe tego kościoła, zwyczajem ówczesnym, są proste i oknami opatrzone. Dach ostry pokryty był pierwotnie włoską dachówką; później zastąpiono ją w wielu miejscach zwyczajną karpówką, a nawet gdzieniegdzie słomą. Na złączeniu krzyżowego wiązania tego dachu, wznosi się w części murowana, w części zaś drewniana, miedzianą blachą pobita wieża, osobliwszą mająca postać. Stawiał ją w końcu XVII wieku jeden z tutejszych opatów, Skotnicki. Do dziś dnia w ustach ludu przechowuje się powieść o zdarzeniu, które do tak dziwnego planu wieży dało powód.

Opat, mając stawiać wieżę na koprzywnickim kościele, wezwał kilku architektów, aby mu swoje przedstawili projekta. Kiedy jednak żaden z nich w myśl jego nie trafiał, wydobywszy z szafy ulubiony kryształowy puhar, nalał go winem, a po spełnieniu w ręce jednego z budowniczych, dnem do góry przewrócił i rzekł: „Taką chcę mieć wieżę.“ Dlatego też wieża na koprzywnickim kościele ma postać puharu przewróconego, bez dna czyli podstawy.

Niegdyś była w tutejszym klasztorze bogata biblioteka, posiadająca rzadkie dzieła i rękopisy, której znaczna część weszła w skład biblioteki publicznej w Warszawie (dziś głównej okr. nauk.), z reszty zaś na miejscu pozostałej obecnie już ani śladu niema. Cystersi utrzymywali tutaj aż do swojej suppressyi szkoły na cztery klasy i gorliwie się niemi zajmowali. Nakoniec do miejscowej historii należą dwa zdarzenia. Kiedy w r. 1370 Kaźmirz Wielki, polując około Przedborza, upadł z koniem i ciężką ranę na lewej nodze odniósł, tak iż z trudnością, częścią w pojeździe, częścią w lektyce, do Krakowa mógł się dostać, w tej podróży wypoczywał przez ośm dni w klasztorze koprzywnickim i ślubował, że skoro przyjdzie do zdrowia, podźwignie katedrę płocką i uposaży. Tu wreszcie w r. 1606 na błoniach od miasta ku Sandomierzowi ciągnących się, obozowało 100,000 szlachty, należąc do rokoszu zebrzydowskiego. W utworzonym kole znajdowało się 16 senatorów, marszałkiem zaś był

sławny Janusz Radziwiłł. Lecz gdy rokoszanie, wśród swarów i porywania się do oręża, nie mogli się ani z sobą, ani z królem porozumieć, znużona szlachta ztąd rozjechała się do domów.

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

MALARSTWO.

(Ciąg dalszy.)

Akwarelle p. Gumińskiego, oryginalne, nie odznaczają się wcale świeżością koloru; wszystko w nich szukane, ton równie jak rysunek drzew, partyj i t. p. Zamiast siły, widać brudny, niepewny kolor. Kopia z olejnego obrazu, przedstawiającego wybrzeże morskie, dużo lepsza.

Pastele p. Maleszewskiego wskazują trochę postępu na tej drodze. Trudno coś wyrzec o podobieństwie portretów nieznanym nam osobom, którym przypuszczamy, że najwięcej za sobą przemawiają, bo kolor niezbyt prawdziwy, często surowy, i niepoprawność rysunku, tam gdzieby ona łatwo dała się usunąć, nie mogą zająć obojętnego widza.

Pan Suchodolski (ojciec) wystawił po raz trzeci znany nam już ustęp z poematu Mohort: *Pochód nocny z Kafarkiem na przodzie*. Nie możemy podzielić zdania artysty, aby efekt wielki miał być w nienaturalnej sprzeczności bezwzględnie czarnego, z jaskrawym, twardo odrzynającym się kolorem. Czerwony, jak plama równo obcięty niby-płomień, nie daje wcale wyobrażenia palącego się ognia. Bacząc na wielką trudność zadania jakie sobie artysta założył, trzeba być bardzo ostrożnym w sądzie o tym obrazku, który jednakże w każdym razie nie jest w stanie wywołać wrażenia odpowiedniego zamiarowi. Za przykład i porównanie efektu sprawionego przez ogień wśród nocy, radzimy postawić obok Kafarka piękny pejzaż pożaru p. Breslauera.

Spacer w aleach wjazdowskich znać odbywa się w dzień świąteczny, tak wszyscy ślicznie, świetnie wyniedzielnieni wyglądają. Trochę kurzu i ciemniejszych barw, a więcej przytępienie kości i ciała w figurkach, zrobiłoby ten obrazek prawdziwszym.

Pan Suchodolski syn dał kopię portretu Monny Lizy z Leonarda da Vinci, krędą czarną z wielkiem przejęciem się pięknocią oryginału zrobioną; i szczęśliwie zachował miękkość, wdzięk i wyraz miłych oczek, cudownie oddanych w oryginale. Dlatego dziwimy się, iż jego obraz własnej kompozycyi, *Narodzenie Pana Jezusa*, tyle ciężkich przedstawia błędów, tak pod względem rysunku, nieprzypominającego w żadnym szczególe natury, jako też i kompozycyi. Tę ostatnią stronę ujemną łatwiej darowalibyśmy artyście, jako rozpoczynającemu dopiero swój zawód; lecz takich grzechów rysunkowych, jak Matka Boska, Dzieciatko, anioł podnoszący draperyą białą, przebaczyć trudno. Co do samego malowania, po próbach dawniej nam znanych z wystawy, mielibyśmy prawo wymagania więcej wprawy. Pamiętając własny jego portret i św. Cecylią, w której, pomimo wadliwości rysunku, z taką wprawą i smakiem malowane były niektóre szczegóły, jak skrzydła i draperye aniołka, ubolewać nam przychodzi, że czas na naukę zagranicą spędzony nie wydał lepszych owoców nadziei powziętych o talencie młodego artysty nie zaspokoił.

Cieszymy się że p. S. zwrócił się ku malarstwu wzniosłemu, poważnemu, chwalimy ten jego kierunek; ale pragnęlibyśmy ażeby artysta, obrawszy sobie ten właśnie rodzaj, szukał u źródła prawdziwego piękna żywiołów i zasad gruntownych kształcenia się; ażeby w zapatrywaniu się na niedoścignionych mistrzów, którzy długo jeszcze będą jedynymi wzorami tej części malarstwa, korzyść dla siebie czerpał, czego właśnie w jego pracy niepodobna dostrzedz. Nic w niej nie świadczy, że czuje na jak głębokich warunkach oparte są wielkie twory religijne dobrej epoki i szkoły; nie nie każe domyslać się zamiaru nawet zbliżenia się do nich.

Z rzeczy religijnych znajdujemy jeszcze jedną p. Jasińskiego: *św. Stanisława wskrzeszającego Piotrowina*. Nie będziemy zatrzymywać się długo przed tym obrazem; przyjemnie nam widzieć dążenie młodego autora do rodzaju religijnego, jednakże winniśmy poradzić mu aby dobrze zastanowił się nad ważnością wielkiego obrazu religijnego i zanim przeję-

dzie do tak dużych kompozycji, próbował sił swoich na mniejszych rzeczach.

Malarstwo religijne, to najwyższe słowo sztuki, mające z najszczytniejszego natchnienia pochodzić, nie powinno być traktowane z lekceważeniem. Zaniedbanie i obojętność, jakie się często u nas pod tym względem spotyka, powinnyby tchnąć w naszych artystów więcej chęci i starania o podtrzymanie godności tych ozdób świątyni, tak ściśle wiążących się z katolicyzmem.

Wyborny obrazek p. Lasockiego, przedstawiający studium z natury, *Druciarza*, zaletami niepospolitemi stoi pomiędzy najlepszymi pracami rodzajowemi. Charakter, prawda niezmierna, spokojność malowania pociągają ku sobie widać. Tą robotą, jakkolwiek małą, dowiódł p. L., iż posiada przymioty wyrobionego artysty.

P. Lesser, któremu wystawa zawdzięcza tyle już pięknych obrazów, mówiących o ciągłych usiłowaniach jego w rozwijaniu wyższego malarstwa, dał obecnie *Córki Cyda*, które należą do lepszych prac tego artysty, choć podobno pochodzą one z epoki dużo wcześniejszej. Ciała są piękne, w kolorze miękkie, w zarzuceniu draperyj znać staranność stylową, czasami jednak wpada w pewną suchość. Tu, podobnie jak w innych pracach p. L., widać więcej artystę myślącego, niżli namiętnego; jestto odbicie się szkoły, mającej, jak każda, swych zwolenników.

Nadesłane z Paryża roboty p. Teppy odrębną swą charakterystyką wyróżniają się od innych. Dziwnym nam się wydaje ten rodzaj malowania obrazów, na które patrząc, domyślać się trzeba raczej niżli rozemnieć można co się w ich jednostajnej, zamglonej ciemności znajduje. Taki sposób malowania nasuwa przypuszczenie, iż malarz, w niepewnym widzeniu artystycznym swęj myśli, nie może jęj sam przed sobą dość jasno wywołać, aby ją drugim wyraźnie przedstawić. Ale jeśli to niezaspakajające oddawanie utworów wyobraźni podobać się nie może w dziełach czystej fantazyi, o ileż ono niewłaściwem wydać się musi tam, gdzie dobitna rzeczywistość za wzór służyła, jak to ma miejsce w portrecie *Marka Bozarysa*. Otwarcie wyznajemy, że pojmując malarstwo jako sztukę służącą do objawienia plastycznego przedmiotu lub myśli, przez formę i warunki jakie się w naturze spotyka, musimy zarzucić pracy jego chorobliwą chęć gonienia za fałszywą oryginalnością. *Apoteoza*, drugi obraz p. T., grzeszy już nie samą wyższą wzmiankowaną wadą malowania; tu przedewszystkiem uderza najfałszywiej zrozumiany przedmiot zadania. *Apoteoza*, mająca przedstawiać uduchowiecie poety, przeniesienie go idealne w krainę wiecznej nieśmiertelności ducha, niemającą już nic wspólnego z doczesną skończonością świata materialnego, zobaczmy jak została pojęta przez artystę. Unoszącemu się w powietrzu aniołowi, malarz włożył trywialnie na plecy trupa zmarłego poety, na wpół całunem osłoniętego, nad którym (niezrozumiała dla nas) płacze pochylona kobieta z dzieckiem. Gdzie pędzi martwami zwłokami obciążony anioł, razem z okalającymi go postaciami bohaterów, w pieśniach wieszczą niegdyś żyjących, trudno domyślić się. Wśród szarej, ponurzej ciemności, nie widać celu ich drogi, a podobni są raczej do potępieńców otoczonych właściwą im atmosferą, niż do wybrańców powołanych do chwwały, jasnością wiekuistą błyszczących. Nawet starożytni poganie nie mieli tak materialnego pojęcia rzeczy duchowych; bo np. pogańska apoteoza Marka Aureliusza, o ileż jest wyższą w pojęciu! Przedstawieniem bezdusznego trupa, chrześcijański malarz zdaje się chciał dowieść, że śmiertelna powłoka człowieka, ciało powstałe z pierwiastku ziemskiego, do którego musi powrócić, było zasługą poety; że to nie duchowi wielkiemu, tęg częście bóstwa, należy się nieśmiertelna chwala, do której potomność, odgadująca w nim pierwiastek boży, chce mistrza swego podnieść. Wszedłszy już z tęg zasady pojmowania przedmiotu, artysta musiał chybić celu. Nikt, patrząc na obraz, domyślić się nie może znaczenia jego, a przeczytawszy wiele obiecujący podpis „Apoteoza poety.“ odejdzie ze smutnym wrażeniem zawiedzionych nadziei, szukających czegoś, coby stało na wysokości zadania i łączącego się z nim najpopularniejszego w kraju imienia.

Na zakończenie przeglądu naszego zostawiliśmy obie prace dwóch artystów, którzy dziełami swojemi

największego blasku dodali obecnie wystawie. Warszawa do jednego z nich tylko przyznać się może, bo drugim jest znany z wystaw krakowskich, pełen obiecujących zdolności p. Loeffler. O ile znamy dzieła jego, wszystkie na sobie noszą piętno uczucia nie-namiętnego wprawdzie, lecz silnego, spokojnego, często rzewnego, a zawsze głęboko z serca czerpanego. W tym właśnie charakterze widzimy go najbardziej polskim malarzem. Obraz jego dzisiejszy, *Powrót rodziny po napadzie Tatarów*, streszcza w sobie te cechy go przymioty. Po jednym z tych strasznych najsę pogaństwa na kraj nasz, tak często niestety powtarzających się, widzimy przed sobą wracającą do swęj siedziby rodzinę. Na miejscu niedawno opuszczonego drogiego domku, znajdują smutne zgliszczą, których widok przerażeniem i zdumieniem ich przejmuję, budząc przytęm, w miarę różnego usposobienia lub wieku, inne, odmienne w każdym z członków rodziny uczucia, wybitnie malujące się na twarzy. Głowa rodziny, stary ojciec, poważnego i szlachetnego oblicza, zdaje się boleć nietylko nad stratą własną, która go mienia pozbawia, ile nad klęską jaką kraj cały jednocześnie dotknięty został; nieszczęście indywidualne nietylko go boli, bo zapomniał „w tęg chwili o swęj osobistości: pamięć na losy ojczyzny nad wszystkiem góruje. Oko błyszczące łzami, którym męzki hart duszy skropić się nie pozwala, wznosił w górę; zatopiony w dalekich, wyższych myślach, zdaje się szukać otuchy w niebie i z tamtąd spodziewać się miłosierdzia, któreby odwróciło plagę trapiącą naród.

Młody, zgrabnej postaci wyrostek, załamawszy dlonie w pięrszej chwili przerażenia, cały wzrokiem i żalem utonął w ruinie; w nięj widzi pogrzebane wspomnienie wieku dziecinnego, najmilszego, bo najswobodniejszego w życiu. Ale godność i spokój ojca, odrodzone w synu, nie pozwalają mu wybuchnąć gwałtowniejszą żalostí. I on poczuwać zaczyna, że nie sam krzywdy doświadczył; więc miarkuje ból młodziuchnego serca, w którym już ów widok niesprawiedliwości myśli o zemście rozniecać poczyna. Obok tych dwóch stojących postaci, córka czy synowa starca, z całą słabością wrażliwego serca kobiecego, nie może powstrzymać objawów silnej boleści i cierpienia. Upadłszy na kolana, zalane łzami oczy zasłania ręką, bo znieść nie może widoku dotkliwej straty, niema odwagi spotkać się oko w oko z okropną rzeczywistością. Malutka dziewczynka, nierozumiejąca jeszcze całego znaczenia nieszczęścia jakie dotknęło jęj rodzinę, tuli się przestraszona do matki, jedynęj ucieczki starczącej jęj za wszystko. Po za całą tą grupą umiejętnie połączoną, trochę w odaleniu, widać nadchodzącego z resztkami szczupłego dobytku wieśniaka, który znać dzielił losy pana. Po geście pełnym wyrazu, właściwym naszemu ludowi prostemu, i niezmiernie wyrazistej fizygnomii, widać jak mocno czuje obecną chwilę; jego rozpacz nie miarkują żadne głębsze uwagi. Przywiązany pies, wierny towarzysz zły i dobrej doli pana, żalostnym wyciem dopełnia smutnego tonu rozlanego w całej scenie.

Taką jest treść tego ślicznego obrazu, który w patrzącym rozwija cały poemat uczuć i wrażeń, przyciąga ku sobie coraz silnie, w miarę dłuższego wpatrywania się w niego. Artysta każdą postać dokładnie rozumiawszy, ożywił natchnieniem czerpanem prosto z serca, — nic na zimno nie stworzył; to tęg wszystko tam żyje i mówi jasno, zrozumiale, nie razi nieharmonijnością w tęg poruszającej pieśni, w tęg historii jednęj rodziny tak żywotnie prawdziwęj, a razem mającej w sobie cechę historii kraju całego. Patrząc na te typy czysto-słowiańskie, tak właściwie ożywione charakterem ród ich cechującym, nikt się nie pomyli w przyznaniu im swojskiego pochodzenia. Tu strój niewiele dopomaga do odgadnięcia kraju gdzie się scena odbywa; i bez niego poznabyś od razu dobrze znane postacie, do których ci serce braterskiem zadręga uczuciem.

Z niewypowiedzianą przyjemnością lubowaliśmy się zręcznym, sumiennem malowaniem, nie wyziębionem żadną suchością ani twardością, — pięknem rysowaniem i wykończeniem w samą miarę posunięciem przeslicznych głów, rąk i innych szczegółów. Jak w tęg n. p. na pół zasłoniętej twarzy kobiecej doskonale domyślić się można, że oczy płaczą; z jakim wystudowaniem i przejęciem się dziecięcym chara-

kterem namalowana jest milutka główka dziewczynki; co za wyborne traktowanie szat i draperyj użytych podróżą, pyłem i kurzem pokrytych, a wszędzie ze smakiem zarzuconych! Nigdzie nie widać żadnego wybryku, pozwalającego sobie sztucznymi błyskotkami gonić za nieprawdziwym efektem; wszędzie widać spokój w malowaniu i wysoką wprawę techniczną. Jednęj rzeczy wszakże przychodzi nam żalować: wtędy gdy wszystko co żyje tak pełną zgodą oddycha, część martwa obrazu, ruiny na pięrszym planie znajdujące się, nieharmonijnie odskakują od reszty. Te zgliszczą w drobiazgach wykończone, jasne, różnobarwne, psują efekt całości. Gdybyśmy w miejscu całej tęg światłej przestrzeni, widzieli masę więcej ciemną, nierozrywającą uwagi pomieszczonemi tam drobnostkami, wtędy koniecznie natęzenie całe musiałyby się skupić w głównej grupie, będącej przedmiotem obrazu.

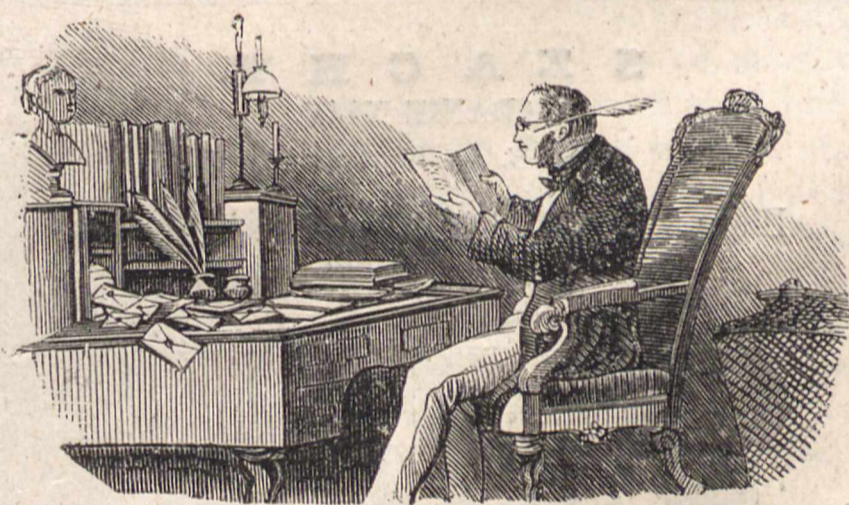
Może być że i małe szczegóły pejzażu akcesoryjnego, równie jak i niektóre części figur ludzkich, nieco rysunkiem poprawnym usprawiedliwione, wywołałyby pewne, choć lżejsze jak pięrszy, zarzuty; lecz wolimy ich nie wyszukiwać, oddani zupełnie pięknościom znakomitym, całość odznaczającym. Małe usterki, od których żaden obraz wolnym nie jest, łatwo darować, gdy znakomite zalety je wynagradzają.

Ostatnią część tego artykułu, mówiącą o pracach pana Simmlera, a mianowicie o jego Barbarze Radziwiłłówny, dla braku miejsca odłożyć musimy do następnego tygodnia. (Przyp. red.)

(Dokończenie nastąpi.)

Proszeni jesteśmy o umieszczenie następnego sprostowania:

Tygodnik *Illustrowany*, w Nrze 62 z r. b., w zajmującym artykule o pomniku Aleksandra Sobieskiego w Rzymie, wspomina o do.nu na Monte Pincio, w którym mieszkała, owdowiawszy, królowa Marya Kazimira. Dom ten (mówi autor artykułu) dotąd jest ozdobiony herbami królowej, *Janiną* Sobieskich i *Zajęciami* margrabiów d'Arquien. W interesie prawdy heraldycznej, sądzę właściwem przytoczyć, że rodzina Berryjska de la Grange, margrabiów d'Arquien, z której wyszła małżonka Jana III, nie pieczętowała się nigdy zajęciami. Jęj herb, (w czém odwołujemy się do powagi o Anzelma i innych heraldyków francuzkich) jest *w polu niebieskiem trzy jelenie złote* (2 i 1) i tak widzę nawet wyobrażony ten klejnot, w połączeniu z herbem Sobieskich, na frontonie kościoła pp. sakramentek w Warszawie. L. V.



Redakcja Tygodnika *Illustrowanego* otrzymała od J. P., jednęj czytelniczek swego pisma, w dowód współczucia dla zasługi J. Lompy, rs. 50, a od F. P. rs. 1. Summę rs. 101 przesłano obdarowanemu.

P. S. H. w Warszawie. Więrszyk pański otrzymaliśmy. Wiele tam niekłamane uczucia i młodzieńczej fantazyi; ale radzilibyśmy autorowi zaniechać jeszcze na czas jakiś poetyckich elukubracyj, zaprawiać się na wzorowych naszych pi-sarzach, a wtędy, gdy w sobie wyrobi myśl dojrzałą i stanie się panem formy, z przyjemnością może kiedyś powitamy go na polu literackim.

Ks. J. G. w Szumsku. Portret odebraliśmy, nawal tylko innych przedmiotów nie pozwolił nam dotychczas zrobić z niego użytku. Prosimy o cierpliwość i o nadesłanie życiorysu, lub przynajmniej notatki biograficznej. Więrszyka, jak wszystkich owacyjnych, drukować nie możemy.

P. J. L. K. w Piotrkowie. Rysunki, chociaż bardzo niedokładne, może nam się kiedyś przydadzą jako materiał *in crudo*; honorarya jednak płacić możemy tylko za rzeczy artystycznie wykończone.

P. R. W. w Szcz. List odebraliśmy, ale żądania nie rozumiemy. Okoliczności dotyczących wyłączenia życia rodzinnego, w żadnym razie poruszać się nie godzi. Są rzeczy, które powinny zostać pod zasłoną, zwłaszcza gdy wystawienie ich na jaw dla wielu osób żyjących jeszcze mogłoby być nieprzyjemnym.

DOM ESTERKI W OPOCZNI.

(Wyjątek z opisu wycieczki po kraju.)

Dojeżdżaliśmy do Opoczna w słotny dzień jesienny.

- Widzę.
- A to tegie miasto, Żydów jak nabił, a pan burmistrz.
- Znam go oddawna.

W ostatnich czasach właścicielami ruderów domu Esterki byli Skapczyńscy, rodzina niegdyś z Włoch pochodząca i zwana tam *Scapetti*. Po wygaśnięciu linii męskiej, kobiety sprzedały szczątki kamienicy ra-



DOM ESTERKI W OPOCZNI.

Furman, mieszczanin z sąsiedniego miasteczka, uprzyjemniał nam trudy podróży gawędką o różnych rzeczach. Gdy przejeżdżaliśmy przez jaką wioskę, to nietylko opowiedział nam biografią dziedzica, ale i ekonomy i pachciarza; gdy zaś przez miasteczko, to zaczynał od burmistrza i ławników, a kończył na biesie, który siedzi pod mostem i ludziom *przeszkadza*.

— Ot Opoczno, widzi je pan, na lewo, przemówił uradowany, że będzie miał nowe pole do gawędy.

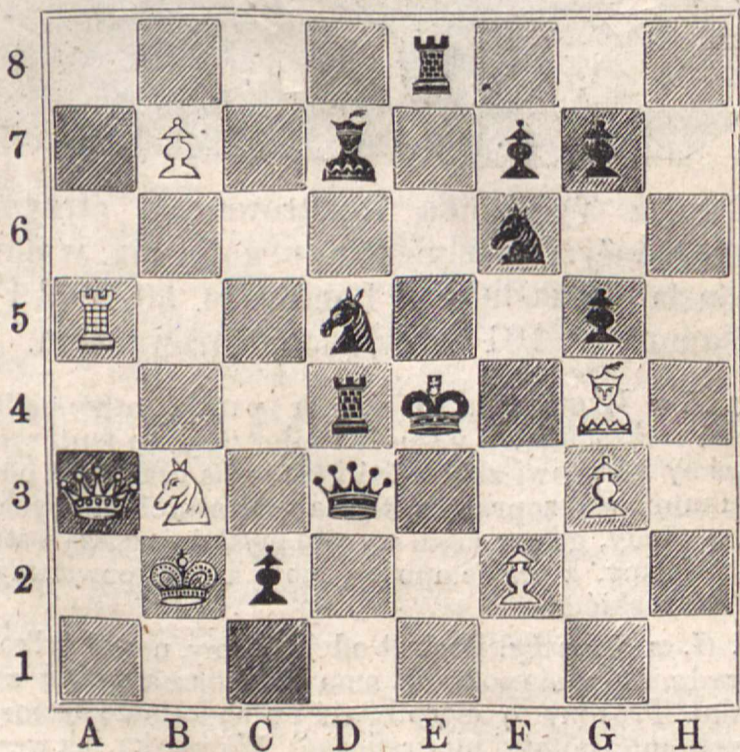
SZACHY.

ZADANIE XLIV.

(S. B. w Warszawie).

Białe zaczynają i dają mat za czwartym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 43.

Białe.

Czarne

- 1) E 5 — C 7 † . . . 3) C 8 — C 7 biorą.
- 2) B 4 — A 6 † . . . 2) C 7 — C 8.
- 8) B 3 — B 8 † i mat.

— Ale ławnika Marka pewno pan nie zna.

— O i owszem, doskonale.

— To i Opoczno pan zna?

— Nie, pierwszy raz je widzę.

— Stare to miescisko, Bóg wie od jakich czasów. Omurowane było jak forteca, a w zamku, co z niego tylko mury sterczą, sam król mieszkał, jak przyjeżdżał w zaloty do Hesterki. A i ona, panie, miała tegi pałac, co jeszcze stoi w mieście, choć mu już dwa boki opadły.

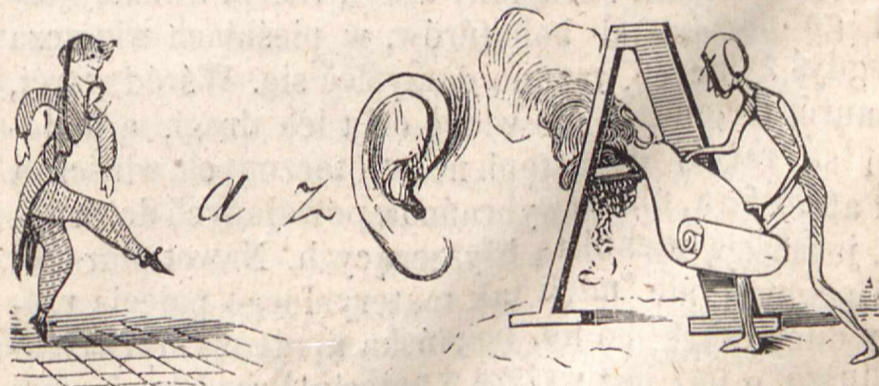
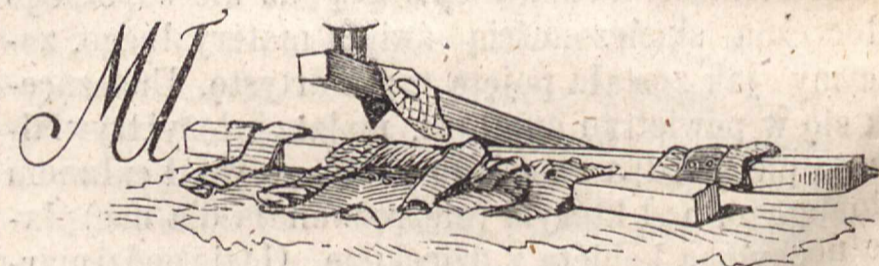
— Cóż to za Hesterka? zapytałem, aby dostać języka, jak się dawniej wyrażano.

— Niby to pan nie czytał o Hesterce, co ją król miłował i woził ją wszędzie z sobą po kraju. Tu kazał wystawić dla niej pałac i ona w nim mieszkała; ale jak Żydzi opoczyńscy dowiedzieli się że ona jada tryfne i szabasu nie odprawia, tak chcieli ją ukamienować. Króla wtedy w zamku nie było, burmistrz wziął od Żydów kupę pieniędzy i schował się; więc Żydowica, niewiele myśląc, zakopała wszystkie swoje skarby i dyamenty, i nocą lochami uciekła. Piechotą zaszła aż do Krakowa. Król się jej bardzo użalił i wywiózł ją het daleko nad Wisłę pod Lublin. Chciał powywieszać wszystkich Żydów w Opocznie, ale ona ich wyprosiła, i skrupiło się pono tylko na burmistrzu.

Gawędka się przerwała, bo wjechaliśmy w miasto. Później obejrzałem ów pałac kochanki królewskiej i znalazłem go w takim stanie, jak go przedstawia drzeworyt. Jest to dom murowany, który do dziś dnia kamienicą Esterki się zowie; dom ten ma istotnie starożytną postać lubo już dach na nim znacznie późniejszego czasu być musi dziełem. Zbudowany jest z wapiennego kamienia, z którego także wystawiony był i zamek tutejszy, jak się to z pozostałych ruin okazuje. Podania o nim jaknajwierniej opowiedział mi mój towarzysz podróży, bo mieszkańcy Opoczna powtarzali mi je kilkakrotnie, nic nie ujmując i nie dodając.

dzie opiekuńczej powiatu opoczyńskiego, która je zupełnie wyrestaurowała, dolne mieszkania obróciła na szpital i sklepy, a górne na zebrania obywatelskie, bale i koncerty. Tak więc starożytny dom ulubienicy Kaźmirza W. służy teraz za przytułek nędzy i cierpieniu, mieszcząc w swych murach zgromadzenia, których celem jest przynieść ulgę ludzkości.

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 62.
Łaska panów bez datku niema wagi.